

OLGA DANEK

„TRZECIE OKO” WILHELMA DICHTERA

Wilhelm Dichter, *Lekcja angielskiego*,

Kraków: Znak, 2010.

Antysemickie wystąpienia w marcu 1968 roku były brzemiennie w skutki – z Polski wyjechały tysiące jej obywateli pochodzenia żydowskiego. Udali się w nieznaną, nie wiedząc, co przyniesie im przyszłość. Mieli ze sobą tylko 5 dolarów i dokument stwierdzający, że nie są już obywatelami kraju, który uważali za swoją ojczyznę. Ich *exodus* rozpoczął się na Dworcu Gdańskim. Emigrowali do Wiednia. Tam dopiero podejmowano decyzję, gdzie jechać dalej. Część wybierała trasę Wiedeń – Rzym – USA. Taką drogę wybrał również Wilhelm Dichter.

Lekcja angielskiego jest trzecią z kolei powieścią w literackim dorobku Dichtera. Dwie poprzednie, *Koń Pana Boga* i *Szkoła bezbożników*, opowiadały o jego dzieciństwie w czasie II wojny światowej oraz dorastaniu w PRL-u. Wszystkie te powieści łączy lapidarny, zwięzły styl. Przypominają pamiętnik – zapisane zostały tylko te wydarzenia, które miały szczególne znaczenie dla biografii autora. Czas „teraźniejszy” miesza się z jego wspomnieniami. Śmierć ojca, strach, ukrywanie się przed nazistami, powracają w snach. Reminiscencje, które pojawiają się w tych książkach, pokazują, jak zawodna potrafi być ludzka pamięć i jak destrukcyjnie wpływa na nią czas. Ulatują nam szczegóły minionych wydarzeń; twarze tych, których już z nami nie ma – wszystko to, co chcielibyśmy zatrzy-

mać. Doskonale pokazuje to trylogia Dichtera. W najnowszej książce autor opisuje blaski i cienie emigracyjnego bytu. To, jak mierzy się z kolejnym trudnym etapem swojego życia. Ciekawie pisze o tym, jak zmagają się z nowymi realiami i robi to z dużym dystansem do samego siebie. Jego książka to szansa na choćby częściowe zrozumienie, jak trudno jest zaczynać wszystko od początku i to w sytuacji, gdy nie ma drogi powrotnej. Trzeba tu zmierzyć się z problemami codziennymi – nauką nowego języka, znalezieniem pracy, wynajęciem mieszkania, ale przede wszystkim – z własną tożsamością. Zapis tych doświadczeń znajdujemy w całej literaturze marcowej. Obojętnie, czy jest to fikcja literacka, jak w *Asystencie Śmierci* Bronisława Świderskiego, czy zbiór listów z emigracji, jak w przypadku książki *Po Marcu – Wiedeń, Rzym, Nowy Jork* autorstwa Anny Frajlich, Felicji Bromberg i Władysława Zająca. Wszystkie są zapisem procesu adaptowania się do rzeczywistości *exodusu*.

Tytułowa lekcja angielskiego nie jest dla Dichtera łatwa i przyjemna. W tekstach emigracyjnych kursy językowe są pierwszym kontaktem z nową kulturą. Dichter uczy się nowego języka tak, jak małe dziecko uczy się mówić, wspomaga się gestykulacją i onomatopcją. Trudno mu wyrazić samego siebie. Problem języka porusza również Bronisław Świderski w *Asystencie Śmierci*.

Bohater jego książki jest emigrantem „z wieloletnim doświadczeniem”, wie zatem, że język to ważny element w procesie asymilacji. Bez znajomości języka egzystujesz na marginesie społeczeństwa, pozostajesz kimś z zewnątrz. Świderski pokazuje jednak, że nawet wieloletnia nauka języka nie jest gwarancją „sukcesu”. Po wielu latach życia na emigracji, Bronisław Świderski ma wciąż problemy z wyrażeniem swoich „polskich myśli” w duńskim języku. Według niego ludzie są „niewolnikami danego języka” i trudno jest przełożyć pojęcia jednej kultury (tej, w której się dorastało, która nas ukształtowała) na terminy innej kultury. Justyna Czechowska we wstępie do *Psięgo paszportu* autorstwa innego marcowego emigranta – Michała Moszkowicza zauważa, że pisarze emigracyjni „oderwani od języka ojczystego, potrafili schronić się w nim jak w kapsule, [...] a ponieważ często jest to dla nich jedyne, co mogli ze sobą zabrać, kapsuła ta tworzy odwieczny dom, jedyny możliwy sposób na życie”¹. Język staje się więc tarczą obronną przed wyobcowaniem z ojczyzny i jej kultury. To często jedyna rzecz, która łączy ich jeszcze z Polską; coś, czego nikt nie jest w stanie im odebrać nawet siłą lub – z drugiej strony – czego pozbyć się nie jest tak łatwo. Język polski we wspomnieniach emigrantów marcowych obarczony jest zawsze dużym ładunkiem emocjonalnym.

Dichterowi z nowym „słownikiem” pomaga oswoić się literatura (tak jak w dzieciństwie dzięki niej chciał się pozbyć swojego wschodniego akcentu). Na emigracji jego *lingua franca* stają się początkowo równania i wykresy. Kiedy w końcu udaje mu się odrobić lekcję angielskiego, co nie jest dla niego łatwe, zaczyna się nareszcie czuć jak u siebie. Nie strasza mu już zmiana pracy czy kolejna przeprowadzka. W końcu odnajduje się w kraju, który przyjął go po opuszczeniu Polski z wilczym biletem. Zatem i u Dichtera potwierdza się teza Świderskiego, że język jest podstawą zadowolenia.

Zmagania z językiem są tylko zapowiedzią czy znakiem sprawy trudniejszych – zmagania z tożsamością. Temat to istotny, bo marcowych emigrantów wyjazd z kraju zmusił do jej zredefiniowania. Wyjechali z państwa, które uważali za swoją ojczyznę, a ona pozbyła się ich jak ciała obcego. Ich tożsamość uległa w nieunikniony sposób transformacji. Dichter, jak pisze, sam tej „metamorfozy” początkowo u siebie nie zauważa:

Elżbieta i ja pozostaniemy kim byliśmy. A chłopcy? Czy mają w sobie dość starego, aby coś ocalało? Jeszcze nie mieszają języków, lecz jak długo to potrwa? Na pikniku tylko starzy i małe dzieci mówili po polsku. Nawet muzycy w krakowskich strojach przeszli przy piwie na angielski. Nasze piątkowe dziecko nie zobaczy kraju swoich rodziców i braci. Polska będzie dla niego niczym.

Jednak problem zmiany identyfikacji nie ogranicza się tylko do jego synów. Polska wciąż zajmuje ważne miejsce w życiu pisarza, jest dla niego punktem odniesienia (jako kultura i tradycja). To w końcu ona go ukształtowała. Dichter pokazuje, jak trudna bywa odpowiedź na pytanie: kim jestem? Czytając tę książkę, dochodzę jednak do wniosku, że w przypadku autora powinno ono brzmieć: kim chciałbym być? Według niego na pewno nie Żydem – widać wyraźnie jak mu to „cięży”. Ameryka w jego oczach stwarza szansę, żeby zapomnieć o swoim żydostwie. Zacząć

od nowa, wymazać to, co najbardziej bolesne i trudne:

*– Lepiej nie być Żydem – chlapnąłem. [...]
– Chce pan udawać? – przybladł krawiec.
– To moja przeszłość. Mogę z nią zrobić, co chcę.
– Na Boga! – nasunął kaszkiet na oczy.
– Żartuję – skłamałem.*

Ciężko jest się zmierzyć z własnym lękiem, wymaga to czasu. Autor dopiero na emigracji, daleko od Polski, zaczyna tak naprawdę zastanawiać się nad tym, co oznacza dla niego bycie Żydem. Strach, że ludzie poznają, kim jesteś, będą wytykać cię palcami, postanowią zniszczyć nie tylko psychicznie, ale też fizycznie – obawy wyniesione z dzieciństwa. Uwolnienie się od żydostwa to jego „chore marzenie”, jak je nazywa. Dostrzega, że patrzył wciąż na siebie „trzecim okiem” należącym do tych, których bał się w czasie wojny:

W czasie rozmów wytapuję swoje odpychające odruchy i staram się ukryć je na czas. Ułożyłem całą listę żydowskich cech: hucpa, chciwość, kręactwo, nadmierna gestykulacja i żydłaczenie. [...] Próbowałem nawet nie kłamać (Żydzi kłamią), ale nic z tego nie wyszło.

To „trzecie oko” każe mu się ciągle kontrolować, nie pozwala na bycie sobą. Ogranicza go, „prześladuje” w codziennym życiu. Trudno się uwolnić spod jego jarzma. To oko sprowadza na niego sny z czasów okupacji. Nie pozwala zapomnieć. Jest powodem ciągłego strachu i poczucia wyobcowania. Na ten „syndrom” cierpią nie tylko ci Żydzi, którzy przeżyli II wojnę światową. Pokolenie powojenne „odziedziczyło” ten strach od swoich rodziców. Żydostwo staje się stygmatem; tym, czego należy się wstydzić. Postąpię na nich destrukcyjnie. W literaturze marcowej nierzadko możemy przeczytać, że żydostwo było piętnem. Wywiady, które przeprowadziła Joanna Wiszniewicz oraz Teresa Torńska, zawierają niejedną taką historię. Obsesyjne unikanie przez rodziców wszyst-

kiego, co związane z kulturą i tradycją żydowską, powodowało problemy tożsamościowe dzieci. Świadomość, że jest się Żydem, wzbudzała poczucie odrzucenia i przekonanie o byciu obcym we własnym kraju. Pytanie czy Dichter „pogodził się” z tym, kim jest? Czy oswoił swój strach? Odpowiedzią niech będzie informacja na temat autora z tylnej okładki jego książki: „Wilhelm Dichter jest polskim pisarzem pochodzenia żydowskiego mieszkającym w Stanach Zjednoczonych”.

Dichter podchodzi do tego, co go spotyka, z ironią i dystansem. Umożliwia mu to z pewnością fakt, że od tamtego okresu, który opisuje, minęło wiele lat. Co znamienne dla *Lekcji angielskiego*, Marzec nie jest głównym tematem wspomnień autora. Pokazany jest raczej jako zdarzenie, którego można się było spodziewać. Coś, co było nieuniknione i do przewidzenia – wystarczyło tylko „odkryć ostrzeżenia ukryte w minionych wydarzeniach i ułożyć z nich bibliotekę sygnałów alarmowych zapowiadających zmiany”. Historia Dichtera stanowi *pars pro toto* przeżyć emigrantów marcowych. Wspólnym mianownikiem ich exodusu są problemy tożsamościowe, trudności z adaptacją i zadowoleniem w nowym miejscu. Świadomie bądź nie, ale każdy emigrant z '68 roku porusza te tematy w swoich reminiscencjach. Nie łatwo jest się zmierzyć, nawet po wielu latach, ze wspomnieniami z tamtego okresu. Wielu ówczesnych emigrantów potrzebowało dużo czasu, żeby zacząć mówić o tym, co ich spotkało. Na książkę Dichtera musieliśmy czekać prawie 40 lat. Pisarz daje nam szansę na to, abyśmy mogli przyjrzeć się Marcowi '68 nie tylko z historycznej czy socjologicznej perspektywy, ale także z perspektywy jednostki, którą odrzuciła własna ojczyzna.

Olga Danek – studentka V roku antropologii kulturowej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Aktualnie przygotowuje pracę dotyczącą przemian tożsamościowych emigrantów Marca '68.